15 Dziki plan

22 NBP: anatomia kryzysu

92 Wege jest piękne

Tematy tygodnia

12 Ryszarda Socha
Zamach na prezydenta
15 Agnieszka Sowa
Co władza ma do dzika

Polityka

19 Mariusz Janicki
Bunt liliputów
22 Łukasz Lipiński
Misiewiczowe prezesa Glapińskiego
25 Marek Świerczyński
Fort Trump – czyli co?

Społeczeństwo

28 Joanna Podgórska
Boy wciąż aktualny
31 Joanna Cieśla
Ciężko się podzielić po rozwodzie
34 Jak skuteczniej leczyć raka – mówi dr hab. n. med. **Radosław Mądry**

Rynek

36 Adam Grzeszak
Górnicza kryptowaluta
40 Rozmowa z **Maciejem Górką** o tym, dlaczego nic nie wyszło z Mieszkania Plus

Świat

42 Łukasz Wójcik
Szczyt populizmu
45 Ziemowit Szczerek SERBIA
Autorytarny sojusznik Europy
48 Rozmowa z izraelskim politykiem **Jairem Lapidem** o tym, dlaczego pokłócił się z Polską

Historia

50 Michał Siedziako
Tak się głosowało w PRL
53 Maciej Machcewicz
Chińczycy w Afryce

Nauka

56 Sławomir Kosieliński
Kosmiczne wyścigi
59 Paweł Walewski
Dlaczego ignorujemy powikłania po cukrzycy
62 CO SIĘ CZYTA

Ludzie i style

64 Aleksandra Żelazińska
Ucieczka z escape roomów
67 Joanna Tracewicz
Jesteśmy fomersami

Kultura

74 Mirosław Pęczak
Bohaterowie tegorocznych Paszportów POLITYKI
77 Kawiarnia Literacka
Krzysztof Siwczyk
78 Kto i jak wyłania laureatów Oscarów – rozmowa z **Johnem Baileyem**
81 Piotr Sarzyński
Hiszpańskie zauroczenie polską sztuką
84 Olaf Szewczyk
Film interaktywny i cyfrowe klony aktorów

Na własne oczy

92 Martyna Bunda
fotografie Roland Okoń
Seksi wege z kalendarza

Stałe rubryki

- **5** Mleczko i Mizerski
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **39** Przegląd informacji rynkowych
- **70** Afisz • **86** Passent
- **88** Stomma • **89** Tym
- **90** Do i od redakcji
- **91** Fusy • **98** Polityka i obyczaje

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

www.mleczko.pl

SŁAWOMIR MIZERSKI **Z ŻYCIA SFER**

Co dają prezesowi dwórki

W Polsce popularność zdobywają nowe, nieznane wcześniej zawody, np. dubler sędziego. Z drugiej strony triumfalnie powracają zajęcia stare i zapomniane, jak choćby spopularyzowana przez niektóre media dwórka. Żeby nią zostać, nie trzeba skończyć konkretnych studiów, tylko mieć odpowiedni wygląd i związane z nim atrakcyjne kompetencje. Co konkretnie dana dwórka będzie robić, decyduje prezes, na dworze którego jest zatrudniona.

Zasadniczo dwórka służy do dbania o dobrą komunikację z prezesem i do torowania mu przejścia pomiędzy dziennikarzami. Zapewnia prezesowi godną oprawę, żeby wszyscy widzieli, że dany prezes jest atrakcyjnym mężczyzną. Z tego względu dwórka powinna być szykowna i chętna do współpracy w każdych warunkach. Powinna być również bystra i czujna, żeby móc bronić swojej pozycji na dworze przed zakusami młodszych i jeszcze bardziej kompetentnych dwórek.

O tym, która dwórka jest najlepsza, ostatecznie decyduje prezes, który ma do tego merytoryczne kompetencje. Męskim odpowiednikiem dwórki jest tzw. misiewicz, z tym że funkcja ta ma obecnie złą prasę i przeżywa kryzys, dlatego ci, którzy są misiewiczami, raczej się tym nie chwalą.

Zaletą dwórki jest to, że zarabia więcej niż premier, ministrowie czy marszałek Sejmu, a jej dochody – w przeciwieństwie do dochodów premiera, ministrów i marszałka Sejmu – są tajne. Sprawne dwórki dostają na rękę do 64 tys. zł miesięcznie, czego zazdrości im nawet prezydent Duda, który dał do zrozumienia, że za te pieniądze sam mógłby być dwórką. Osobiście uważam, że to doskonały pomysł i że Andrzej Duda by się w tej roli sprawdził lepiej niż w roli, którą odgrywa teraz. Niestety, tak się składa, że prezes Kaczyński wystawił go na prezydenta, robiąc tym dużą krzywdę nie tylko jemu i sobie, ale także pozostałym Polakom.

Wicepremier Jarosław Gowin twierdzi, że jest zszokowany nieprzyzwoitymi pensjami dwórek prezesa Glapińskiego, dlatego zgadzam się z szefem NBP, że „powinien wziąć dwa razy głęboki oddech, a jak to nie pomoże, to zimny prysznic". Oczywiście po ludzku rozumiem Gowina, że chciałby tyle zarabiać, ale wiadomo, że jako wicepremier nie ma na to szans. Musiałby zostać przynajmniej wiceprezesem NBP, z tym że – nie oszukujmy się – w tej roli, nawet po wzięciu prysznica i głębokiego oddechu i tak nie mógłby się równać z dwórkami prezesa Glapińskiego.

Słowa przed ciszą

Jerzy Baczyński

Nie możemy się otrząsnąć, nie możemy uwierzyć. Śmierć Pawła Adamowicza to szok dla Polski, dla jego rodzinnego ukochanego Gdańska, to ból dla wszystkich Jego przyjaciół, znajomych, współpracowników. Także dla naszej redakcji. Rodzinie możemy dziś tylko przekazać słowa współczucia i solidarności, powiedzieć, że dziękujemy Panu Prezydentowi i że będziemy Go pamiętać. Tę ostatnią scenę też zapamiętamy do końca życia. Paweł Adamowicz zginął od ciosów nożem, zadanych w świetle kolorowych reflektorów, akurat wtedy, gdy z przyklejonym na kurtce czerwonym sercem Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy wśród setek rozradowanych osób uwalniał symboliczne „światełko do nieba".

Wspominamy Prezydenta Adamowicza w tym wydaniu POLITYKI i będziemy jeszcze Go wspominać, bo to jedna z najwybitniejszych politycznych postaci Wolnej Polski, współtwórca polskich samorządów, pełen energii, pomysłów i sukcesów zarządca wspaniałego miasta. To nie jest moment, aby o to, co się stało, obwiniać kogokolwiek poza mordercą. Zresztą po tym barbarzyńskim ataku władze państwowe (choć jak napisał prezydent Duda, „nie zgadzaliśmy się z Pawłem Adamowiczem") zachowały się tak, jak powinny. Ale też nie sposób uniknąć paru skojarzeń. I nie wolno od nich uciekać.

Wiele razy mówiliśmy i pisaliśmy na tych łamach, że poziom agresji i nienawiści, jakim parują rozmaite fora i serwisy internetowe, przyzwolenie na najdzikse formy propagandy w mediach państwowych, pogarda okazywana przeciwnikom politycznym, że to wszystko stwarza atmosferę, w której wcześniej czy później dojść może do publicznych, motywowanych także politycznie, aktów przemocy. Ale jednocześnie takich incydentów było dotąd bardzo mało. I choć zdarzały się czyny odrażające – spoliczkowanie, oplucie, zwyzywanie oponenta – na szczęście od lat nie doświadczaliśmy w Polsce ataków godzących bezpośrednio w życie jakiegokolwiek polityka.

Śledztwo, oby prowadzone pod rygorystycznym nadzorem publicznym (bo wiarygodność prokuratora generalnego w tej sprawie jest znikoma), odsłoni, mamy nadzieję, okoliczności gdańskiej zbrodni. Ujawni historię, osobowość i motywy sprawcy – z tego, co już wiadomo, wielokrotnego przestępcy. Być może potwierdzi się, że ten zamach nie miał wyraźniejszego podłoża politycznego, choć napastnik wykrzykiwał jakieś tego typu oskarżenia. Ale nawet gdyby to był „jedynie" indywidualny, odosobniony akt terroru, popełniony przez desperata czy człowieka niezrównoważonego, zabójstwo prezydenta Gdańska staje się poważnym ostrzeżeniem.

Po pierwsze, chodzi o nasz wewnętrzny kontekst. Atak nastąpił w dniu finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Jurek Owsiak, zanim ogłosił, że „po tym, co się stało" rezygnuje z kierowania Fundacją WOŚP, w bardzo emocjonalny sposób przypomniał hejt, jakim on sam, Orkiestra i jej uczestnicy są obdarzani co roku przed wielkim Finałem, także ze strony tzw. mediów narodowych. Doszło już do tego, że TVP zaatakowała Owsiaka jawnie antysemickimi chwytami, choć kierownictwo telewizji oficjalnie odcięło się od tego przekazu. To zresztą bez znaczenia, bo – jak w ostatniej świątecznej „GW" zwracał uwagę znany dziennikarz Krzysztof Leski, przez kilkanaście miesięcy oglądający wytrwale „Wiadomości TVP" – najgorsza nie jest tam nawet bezwstydna manipulacja faktami czy nachalna propaganda; „najgorsza jest nienawiść. I język, w którym jest rozsiewana". Co wieczór, mówi Leski, ogarnia go „niekończące się zdumienie", że można wytaczać taką „beczkę z g…". To, co przez ponad 20 lat było wielkim narodowym świętem dobroczynności, solidarności, rozrywki, przyjaźni, zostało publicznie zbrukane, ubabrane w jakieś chore polityczne i ideologiczne interpretacje i pomówienia. Nie, nie oznacza to, że władza odpowiada za barbarzyński atak w Gdańsku, ale odpowiada za zarażenie tego święta agresją i lękiem. I to pierwsze ze „złych skojarzeń".

Drugie dotyczy naszego wizerunku, a właściwie stereotypów, jakie dziś towarzyszą Polsce. Media światowe opatrywały dramatyczne obrazy z Gdańska oczywistym w takim przypadku komentarzem, że w Polsce doszło do ataku na „opozycyjnego prezydenta miasta", zadając często – równie naturalne dla wszystkich informacyjnych mediów pytanie – „czy w Polsce wzbiera fala przemocy?". Nawet jeśli odpowiedź brzmi „nie", w relacjach z Polski eksponowane są polityczne konflikty, a w krótkich telewizyjnych migawkach sprawiamy wrażenie kraju coraz bardziej chaotycznego, niebezpiecznego, który kipi złymi emocjami.

Można oskarżać główne światowe media, że są liberalne, lewicowe, jednostronne i co tam jeszcze, jednak żadna deklaracja polskiego rządu tego nie zmieni. Od trzech lat przekazy z Polski dotyczą ulicznych demonstracji i protestów, konfliktów z Unią Europejską w sprawie niezależności sądownictwa, ostentacyjnych umizgów polskiego rządu wobec Donalda Trumpa czy, jak ostatnio, obrony przez polskie władze prawa do nieograniczonego wydobycia i spalania węgla. A teraz najgorsze: zabójstwo prezydenta miasta. Nie jesteśmy krajem o silnym, ugruntowanym historycznie wizerunku, gdzie taka zbrodnia byłaby „tylko" tragicznym incydentem. W medialnym i politycznym światku, który nie ma czasu na niuanse i chętnie posługuje się stereotypami, spadliśmy do kategorii państw niestabilnych, nieprzyjemnych, skłonnych do przemocy, sprawiających kłopoty sobie i innym. I będziemy za to płacić.

Sprawa trzecia. Paweł Adamowicz był, ze strony władzy, obiektem ataków, których natura od pewnego czasu już nie dziwi, ale w historii III RP jest mocno związana ze sposobem uprawiania i rozumienia polityki przez PiS. Chodzi o „kryminalizację opozycji". To nie tylko tzw. sprawa Adamowicza, gdzie zawsze było więcej domniemań niż faktów, czy Donalda Tuska, na którego władza próbuje znaleźć jakikolwiek hak, od Amber Gold, przez udział w spisku smoleńskim, po „zbrodnię dyplomatyczną". O zdradę interesów Polski oskarżana jest cała opozycja; sędziowie są publicznie dyskredytowani i obrażani nawet przez prezydenta, a media i dziennikarze opozycyjni traktowani jako sprzedajni i „niepolscy". Nawet pobicie byłego szefa KNF ważny polityk rządzącej formacji usprawiedliwiał zdaniem, że „nie zawsze przestępcy biją dobrych ludzi". Jasne, polityka, szczególnie dziś, bywa brutalna i prymitywna. Ale posłuchajmy obecnych, bardzo przecież gwałtownych, sporów politycznych w Wielkiej Brytanii, Francji czy w Niemczech: gdzie rządzący oskarżają opozycję o zdradę stanu czy bez dania racji o najgorsze przestępstwa? Nie, nie oznacza to, że władze odpowiadają za jakieś akty bandytyzmu wymierzone w osoby publiczne. Ale podnoszą poziom agresji i pogardy wobec polityków. Także wobec siebie.

Tego tragicznego wydarzenia nie da się oderwać od emocji, nie da wyłączyć rozmów między nami. Jeśli śmierć Prezydenta żąda od nas chwili ciszy, to w tym milczeniu, pochylając głowę, warto sobie zadać pytanie, czy całą winę możemy zatrzasnąć w celi razem z mordercą?

Zamieszanie z przyspieszaniem

Jeśli PiS zastosuje manewr z nieprzyjęciem na czas budżetu i prezydent zarządzi przyspieszone wybory, to władza po raz kolejny obejdzie konstytucję.

Na 40–50 proc. w marcu odbędą się przedterminowe wybory parlamentarne – mówił w Radiu TOK FM lider PO Grzegorz Schetyna. Jego zdaniem wpływ na to może mieć m.in. „bardzo duża dekompozycja obozu władzy" oraz planowana na 19 marca rozprawa w TSUE w sprawie pytań dotyczących KRS. A PiS boi się tej rozprawy, bo pokaże ich jako tych, którzy łamią prawo europejskie. Podobno do wyborów namawia Kaczyńskiego minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, główny winowajca zamieszania wokół KRS. Przekonuje, że majowe wybory do europarlamentu będą dla Zjednoczonej Prawicy najtrudniejsze i mogą zapoczątkować spadek w sondażach. Rzeczniczka PiS zapewnia, że wiosną wyborów nie będzie.

Przyspieszone wybory mogą się odbyć z trzech powodów: samorozwiązanie – przegłosowanie uchwały Sejmu większością 2/3 głosów ustawowej liczby posłów (tj. minimum 307 głosami), ale PiS nie ma takiej większości; zarządzenie prezydenta w przypadku braku wotum zaufania dla rządu (Morawiecki otrzymał je tuż przed świętami); jeżeli prezydentowi nie zostanie w określonym terminie dostarczony do podpisu budżet. Jeśli Jarosław Kaczyński rzeczywiście rozważa przyspieszone wybory, to jedyną drogą do tego jest celowe nieprzyjęcie budżetu na czas. Jeśli wybory odbędą się wcześniej, to najpewniej w niedzielę 17 marca, dwa dni przed rozprawą TSUE.

Konstytucja, art. 225: jeżeli w ciągu czterech miesięcy od dnia przedłożenia Sejmowi projektu ustawy budżetowej nie zostanie ona przedstawiona prezydentowi do podpisu, to może on w ciągu 14 dni zarządzić skrócenie kadencji Sejmu. Projekt budżetu na 2019 r. wpłynął do Sejmu 27 września, więc do niedzieli 27 stycznia musi trafić na biurko Andrzeja Dudy. Trzecie sejmowe czytanie jest zaplanowane na 16 stycznia, potem nad budżetem pochylą się senatorowie – najpewniej 23 i 24 stycznia. A jeśli wniosą jakieś poprawki – PiS może w ten sposób chcieć przeciągać sprawę, jeśli gra na przyspieszone wybory – to projekt wróci do Sejmu. I to będą już tylko dwa dni do terminu, w którym budżet powinien leżeć u prezydenta.

Jeśli stanie się to po 27 stycznia, i taki będzie przykaz z Nowogrodzkiej, to Andrzej Duda może w ciągu 14 dni zarządzić skrócenie kadencji Sejmu. Czyli najpóźniej 10 lutego będziemy wiedzieć, kiedy te przyspieszone wybory się odbędą. Prezydenckie postanowienie musi ukazać się w ciągu 5 dni w Dzienniku Ustaw. Dzień po tym zacznie się kampania, a partie będą miały najwyżej 10 dni na zarejestrowanie komitetów i 20 dni na zgłoszenie list kandydatów. W najpóźniejszym z możliwych wariantów – konstytucyjne 45 dni od zarządzenia prezydenta o skróceniu kadencji Sejmu – poszlibyśmy do urn 31 marca. Ale jeśli już PiS zdecyduje się na wybory, to raczej na niedzielę 17 marca. W 2007 r., gdy Kaczyński podjął decyzję o rozwiązaniu Sejmu, to 5 września posłowie przegłosowali uchwałę o samorozwiązaniu, a już 19 października były wybory. I PiS je przegrało.

Od tygodni w rozważaniach o przyspieszonych wyborach umyka fakt, że jeśli PiS zastosuje ten budżetowy wybieg, to po raz kolejny złamie konstytucję. Konstytucja jasno wskazuje, że jeśli prezydent nie otrzyma do podpisu budżetu, to może, ale nie musi zarządzać skrócenia kadencji Sejmu. Jeśli w ciągu dwóch tygodni nie podejmie decyzji, to państwo będzie działać dalej na podstawie projektu, aż Sejm uchwali budżet, choć już po terminie. Prof. Ryszard Piotrowski, konstytucjonalista: – *Konstytucja daje prezydentowi możliwość skrócenia kadencji Sejmu w związku z nieuchwaleniem budżetu, ale tylko w warunkach, kiedy Sejm, wskutek różnic politycznych, nie jest zdolny do działania i przyjęcia budżetu. Jeśli Sejm działa – a doświadczenie tej kadencji na to wskazuje, bo partia rządząca uchwala dość szybko wszystkie swoje projekty, to zastosowanie procedury skrócenia kadencji w związku z nieuchwaleniem budżetu będzie świadomym obejściem konstytucji i wykorzystaniem jej jako pretekstu do przyspieszonych wyborów.*

Prof. Piotrowski uważa, że jeśli prezydent, który powinien czuwać nad przestrzeganiem konstytucji, podejmie grę PiS i z powodu braku budżetu skróci kadencję Sejmu oraz zarządzi przyspieszone wybory, to dopuści się deliktu konstytucyjnego. Za to grozi mu Trybunał Stanu.

ANNA DĄBROWSKA

Naród kontra Unia

Przy Nowogrodzkiej nikt nie stawia fundamentalnych pytań o przyszłość Europy, sojusz Jarosława Kaczyńskiego i Matteo Salviniego to groźny pomysł na kampanię do Parlamentu Europejskiego.

Czy polski rząd ma jakiś pomysł na Europę? To pytanie będzie powracać wraz ze zbliżaniem się majowych wyborów do Parlamentu Europejskiego. Niedawno w tej sprawie odbyła się narada Jarosława Kaczyńskiego i Matteo Salviniego, szefa włoskiego MSW, kreowanego dziś na lidera paneuropejskiego ruchu walki z Unią. I Polacy struchleli, jedni z przerażenia, drudzy z zachwytu, że oto przy Nowogrodzkiej tworzy się nowa „oś", która ma być przeciwwagą dla francusko-niemieckiej dominacji w Europie.

Dziwny byłby to sojusz. Dla Salviniego i jemu podobnych w Europie Zachodniej Unia jest trampoliną do sukcesu w polityce krajowej. To rasowy populista, mówienie o nim, że jest „liderem nowej prawicy", jak to robi PiS, jest nieporozumieniem, skoro zawarł koalicję rządową z przedstawiającym się jako „nowa lewica" Ruchem 5 Gwiazd. Włoch wybiera takie tematy, które łatwo polaryzują wyborców i w których może zająć stanowisko akurat dominujące w sondażach. Aby potem, w razie potrzeby, je zmienić. Że to niespójne – to bez znaczenia. Większość polityków, nie tylko włoskich, już dawno zrezygnowała z tłumaczenia czegokolwiek wyborcom, a stała się pasem transmisyjnym dla ich emocji.

PiS widzi, że to skuteczna strategia. Ale nie przystająca do realiów w Polsce, gdzie wciąż ponad 80 proc. obywateli jest za członkostwem w Unii. Dlatego proponuje inną opowieść, którą premier Mateusz Morawiecki nazwał w zeszłym roku w Strasburgu Unią Narodów 2.0. Jeśli nie da się w Polsce ugrać zbyt wiele na krytyce Unii, to przeciwstawmy ją „narodowi", pojęciu, które wzbudza silniejsze emocje. I zbudujmy fałszywą opozycję między nimi. Oczywiście w obronie suwerenności i dobrobytu Polaków. A że to niespójne... Europa silnych narodów to także Europa silnego narodu niemieckiego. Doprawdy, czy na pewno o to chodzi PiS?

Odruchowo przypisujemy intelektualną głębię politykom, którzy nami rządzą. Nie musimy się z nimi zgadzać, ale przecież nie mogą być samolubnymi głupcami, jeśli kierują 38-milionowym państwem, które przecież nie jest otoczone morzem. Czyżby? Na Nowogrodzkiej po prostu nikt nie stawia fundamentalnych pytań o przyszłość Europy. To tylko doraźny i poręczny instrument zarządzania emocjami.

ŁUKASZ WÓJCIK

Obowiązek pamiętania

W ubiegłym tygodniu uprawomocnił się wyrok Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu w sprawie ekshumacji ciał Arkadiusza Rybickiego i Leszka Solskiego, którzy zginęli w katastrofie smoleńskiej. Trybunał przyznał rację rodzinom tragicznie zmarłych, uznając, że ekshumacje dokonane wbrew ich woli naruszyły artykuł ósmy Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, gwarantujący prawo do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego. Najbliżsi mojego przyjaciela Arama Rybickiego mówią, że wyrok przyniósł im bardzo gorzką satysfakcję. Zło zostało nazwane złem, ale skarga, jaką Małgorzata Rybicka złożyła do Trybunału Praw Człowieka na państwo polskie, miała zapobiec bezsensownej i bezdusznej decyzji polskiej Prokuratury Krajowej o przeprowadzeniu ekshumacji ciała jej męża pomimo sprzeciwu rodziny. Ten cel nie został osiągnięty. Prokuratura Krajowa nie czekała na wyrok Trybunału Praw Człowieka i przeprowadziła ekshumację. Zadała wielki ból jego rodzinie i bliskim, zmuszając ich do ponownego przeżywania żałoby, a wyniki ekshumacji nie przyniosły nic nowego w sprawie ustalenia przyczyn śmierci.

Dobrze pamiętam dzień 14 maja ubiegłego roku, w którym zgromadziliśmy się wokół rodziny Arama Rybickiego na gdańskim cmentarzu Srebrzysko, aby być razem w tej trudnej chwili i wyrazić nasz protest. Było kilkaset osób. Zostaliśmy oddzieleni od grobu szpalerem żandarmerii i policji, ale także „murem" złożonym z kilku autokarów, które zasłaniały grób. Za tym murem wydobywano trumnę człowieka, który dobrze zasłużył się Polsce, jako działacz opozycji demokratycznej w PRL i polityk w wolnej już Rzeczpospolitej.

Czuliśmy, że prawdziwy mur oddziela nas od ludzi, którzy spowodowali, że znowu polski aparat państwowy: prokuratura, policja i żandarmeria, służą złej sprawie. Zakłócają spokój zmarłych i zadają ból żywym.

Lista grzechów obozu politycznego, który objął władzę w naszym kraju w 2015 r., jest długa. Jednak dwa uważam za najcięższe: dążenie do zniszczenia niezależności władzy sądowniczej i cyniczną grę katastrofą smoleńską.

W ostatnich miesiącach propaganda obozu władzy wyraźnie wyciszyła wątek smoleński. Wątpię, aby przed tegorocznymi wyborami parlamentarnymi powrócił on jako jedna z kluczowych spraw w kampanii wyborczej Prawa i Sprawiedliwości. Przede wszystkim z dwóch powodów. Pierwszym jest porażka Prokuratury Krajowej w poszukiwaniu dowodów czy chociażby poszlak na uprawdopodobnienie tezy, że katastrofa smoleńska była wynikiem zamachu. Drugim powodem jest obawa przed wysuwaniem na pierwszy plan Antoniego Macierewicza, głównego propagatora tezy o zamachu smoleńskim. Sądzę, że PiS – podobnie jak było w kampanii wyborczej w roku 2015 – także w tegorocznej będzie starał się go nie eksponować, by nie odstraszać wyborców, kierujących się zdrowym rozsądkiem.

Być może obecnej władzy byłoby na rękę, abyśmy zapomnieli o wyczynach komisji Macierewicza i wypowiedziach czołowych polityków PiS-u, z Jarosławem Kaczyńskim włącznie, stwierdzających, że katastrofa lotnicza pod Smoleńskiem była zbrodnią.

Jednak naszym obowiązkiem jest pamiętać. Przecież ostatnim słowem polskiej instytucji państwowej w sprawie katastrofy smoleńskiej jest tzw. raport techniczny Podkomisji ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego pod Smoleńskiem, powołanej decyzją ówczesnego ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza. Opublikowany w kwietniu 2018 r., wskazuje on serię wybuchów jako przyczynę katastrofy prezydenckiego samolotu. Nie pada w nim słowo zamach, ale jest oczywiste, że właśnie o zamach chodzi w tym raporcie.

Nie powinniśmy zapomnieć o dezawuowaniu przez obecne władze wyników prac państwowej komisji Jerzego Millera, składającej się z wybitnych fachowców, i o ich szykanowaniu i podważaniu kompetencji. Podobny los spotkał prokuratorów Prokuratury Wojskowej, którzy badali katastrofę smoleńską, których prace były na ukończeniu. Wykluczały zamach jako przyczynę katastrofy. Nie możemy też zapomnieć, że decyzja Prokuratury Krajowej, a faktycznie Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry, o przedłużeniu śledztwa była decyzją polityczną, a nie wynikającą z przyczyn merytorycznych. To w jej wyniku cierpiały rodziny ofiar katastrofy, które nie chciały ekshumacji swych bliskich.

Bardzo głęboki podział narodu uważam za najpoważniejszy obecnie polski problem. Do tego podziału przyczyniło się wiele działań obecnego obozu władzy. Żadne z nich nie odegrało tak fatalnej roli, jak głoszenie tezy o złowrogim spisku zawiązanym przez Putina i Tuska na zgubę prezydenta Polski i towarzyszącej mu w drodze do Katynia delegacji. Jej najbardziej negatywnym skutkiem było powstanie dość licznej grupy rodaków naprawdę odczuwających nienawiść i pałających żądzą zemsty na innych Polakach – rzekomych winowajcach śmierci prezydenta i reprezentacji elity naszego państwa. W oczach tych ludzi polityczni przeciwnicy przestali być uczestnikami tej samej wspólnoty narodowej, ale stali się zdrajcami, zasługującymi na pogardę i karę.

Z przyczyn politycznych – dla konsolidacji własnego obozu i nadania mu nimbu męczeństwa – wywołano bardzo złe emocje. Z premedytacją przekreślono szansę na to, aby wspólnie przeżywana żałoba przyczyniła się do odbudowania wspólnoty. Ten zły cel został osiągnięty, ale za jaką cenę? Bardzo wysoką. Płacimy ją wszyscy jako naród. Najwyższą jednak płacą rodziny ofiar katastrofy smoleńskiej, których prawa zdeptano, a wolę zlekceważono.

Dobrze się stało, że Trybunał Praw Człowieka wydał precedensowy wyrok. Polskie władze, nie wnosząc od niego apelacji, pośrednio przyznały, że jest on słuszny. Powinien dodać sił ludziom, którzy nie chcą biernie znosić łamania ich praw przez obecne władze naszego państwa. Dla tych ostatnich niech będzie głosem przestrogi – nie wszystko wam wolno.

Postscriptum

Stała się rzecz straszna. Paweł Adamowicz, prezydent Gdańska, padł ofiarą zamachu tuż po tym, jak dziękował gdańszczanom zgromadzonym na Długim Targu za ofiarność okazaną podczas zbiórki na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Nie przeżył. Był dla mnie nie tylko postacią publiczną, ale także od wielu lat – przyjacielem.

Paweł Adamowicz był człowiekiem bardzo autentycznym. Nie było w jego przypadku rozdźwięku między postacią publiczną i prywatną. Był człowiekiem szlachetnym, odważnym, wiernym w przyjaźni, zakochanym w Gdańsku, który tak wiele mu zawdzięcza. Należał do pokolenia, które wzrastało w czasach Solidarności, i do końca pozostawał wierny temu, co było najlepsze w jej dziedzictwie.

Doceniał wolność odzyskaną przez Polskę. Wielkim szacunkiem darzył twórców III RP. Państwa, które budowaliśmy od 1989 r., nie uważał za idealne, ale traktował jako własne. Ani chwili nie wahał się, aby stanąć w obronie jego praw, a zwłaszcza konstytucji.

Wybory na prezydenta Gdańska, które triumfalnie wygrał w listopadzie ubiegłego roku, w bardzo trudnych okolicznościach, dały mu dużą satysfakcję, dodały energii i optymizmu. Moim zdaniem miał moralny i polityczny format, aby odegrać ważną rolę w polityce ogólnopolskiej. Ze swoimi talentami i charakterem był jej bardzo potrzebny.

To, co się stało, to nie tylko dramat jego rodziny i bliskich. To nie tylko dramat Gdańska. To dramat Polski i być może ostatni moment, aby z wielką powagą zastanowić się nad stanem naszej Ojczyzny.

Głuchy telefon

Po aresztowaniu podejrzewanych o szpiegowską współpracę dyrektora z warszawskiego oddziału Huawei Weijinga W. i byłego oficera ABW Piotra D. wyszły na jaw bliskie relacje chińskiego giganta telekomunikacyjnego – który, według służby wielu krajów, używany jest do działań wywiadowczych – z polskimi instytucjami państwowymi, szczególnie wojskowymi. Prawdopodobnie to Amerykanie, których służby od dłuższego czasu tropią związki chińskich firm technologicznych z wywiadem, „wystawili" Polakom potencjalnych szpiegów. Tajemnicą pozostanie pewnie, dlaczego sprawę przejęła ABW, a nie Służba Kontrwywiadu Wojskowego.

Wychodzące na jaw relacje między podejrzewanymi o szpiegostwo dyrektorem z Huawei a Piotrem D. prowadzą m.in. do Wojskowej Akademii Technicznej – uczelni nadzorowanej przez MON. Tam w Instytucie Systemów Informatycznych Wydziału Cybernetyki od kilku lat pracował Piotr D. Zajmował się kryptologią i cyberbezpieczeństwem. Karierę w instytucjach publicznych zaczął robić za pierwszych rządów PiS, gdy trafił na stanowisko dyrektorskie w MSWiA. Doszedł do stanowiska wiceszefa departamentu bezpieczeństwa informatycznego (już za rządów PO) i doradcy szefa ABW. W 2011 r. został odwołany. Łączono to z tzw. infoaferą, której głównym bohaterem został m.in. jego bliski znajomy z MSWiA. Ale mimo to D. pozostał w strukturach ABW, choć na bocznym torze – trafił do Zespołu Reagowania na Incydenty Bezpieczeństwa Komputerowego i do Urzędu Komunikacji Elektronicznej, gdzie w 2014 r. objął stanowisko dyrektorskie. Cały czas pracując w WAT, miał nawet doradzać Kancelarii Premiera za rządów Beaty Szydło.

Częstym gościem uczelni i samego Piotra D. był Weijing W. Sądząc z tego, co można wyczytać na stronie internetowej uczelni, a co ujawnił i opisał serwis osluzbach.pl, chiński menedżer był tam osobą dobrze znaną i szanowaną. Szczególnie na Wydziale Cybernetyki, który wykonuje kluczowe dla państwa projekty związane z bezpieczeństwem danych. W sierpniu 2018 r. wydział zawarł porozumienie między akademią a MSWiA dotyczące „prowadzenia prac badawczo-rozwojowych w zakresie telekomunikacji, informatyki, kryptologii i cyberbezpieczeństwa, ze szczególnym uwzględnieniem bezpieczeństwa i ochrony zasobów informacyjnych, przetwarzanych w systemach i sieciach teleinformatycznych". Za jego wykonanie ze strony WAT odpowiedzialne miały być dwie osoby: Piotr D. oraz prodziekan Wydziału Cybernetyki ds. współpracy i rozwoju – dr inż. Maciej Kiedrowicz.

Razem z innymi naukowcami z WAT (m.in. zastępcą dziekana ppłk. Maciejem Chmielewskim) oraz pracownikami UKE był członkiem delegacji, która w listopadzie 2015 r. pojechała do Chin na zaproszenie Huawei. Pomógł im w tym wyjeździe Weijing W., za co dostał zresztą specjalne podziękowania od wojskowej uczelni. Program wizyty obejmował nie tylko udział w konferencji na temat zagrożeń w łączności mobilnej, ale także odwiedziny w siedzibie Huawei w Shenzen, a nawet zwiedzanie miasta i wycieczkę do Hongkongu.

Zacieśniająca się współpraca odbywała się w atmosferze zbliżenia rządzonej przez PiS Polski z Chinami. Tymczasem coraz więcej krajów zaczyna nieufnie patrzeć na Huawei oraz podobne chińskie giganty technologiczne, w istocie kontrolowane przez tamtejsze władze. Coraz głośniej stawiane są oskarżenia, że są wykorzystywane przez wywiad ChRL. I chodzi nie tylko o smartfony, ale też o nowoczesne urządzenia służące do transmisji danych, m.in. w systemie 5G, które Huawei chce budować na całym świecie. W związku ze swymi podejrzeniami niektóre kraje – głównie blisko związane z USA – wykluczają Chińczyków z przetargów na ten system, ale aż 14 firm z Europy, m.in. z Portugalii, podpisało z nimi umowy. Wiele wskazuje, że Polska znajdzie się wśród tych pierwszych, jak również na to, że nasze służby kontrwywiadowcze, szczególnie wojskowe, miały na to niewielki wpływ. Nic nie wskazuje, byśmy się czegokolwiek na ten temat dowiedzieli.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

KOMENTARZ

Nauczyciele muszą zarabiać

Joanna Cieśla

Czy w polskich szkołach będzie strajk generalny? Bardzo możliwe. W Szczecinie nauczyciele ze szkół i przedszkoli już masowo poszli na zwolnienia.

Prezes ZNP Sławomir Broniarz oceniał, że podczas niedawnego spotkania z nauczycielami szefowa MEN Anna Zalewska nie przedstawiła żadnych konkretnych propozycji. Nie zgodziła się na wzrost wynagrodzeń nauczycieli o 1 tys. zł od stycznia 2019 r. Próbowała przekonać związkowców, by zwracali się o podwyżki do samorządów, które współfinansują edukację. Jednak nauczyciele na to nie pójdą. Samorząd określa tylko dodatki do oświatowych wynagrodzeń. Minister z kolei nie może zmusić starostów czy prezydentów do podniesienia w szkołach pensji bez zapewnienia na to środków z budżetu.

ZNP przejął postulat tysiączłotowej podwyżki od nauczycieli, którzy w grudniu zaczęli protest polegający na przechodzeniu na zwolnienia lekarskie. Skoro więc z rozmów z MEN nic nie wynikło, Związek podjął uchwałę w sprawie sporu zbiorowego, czyli zaczyna organizację strajku.

Kolejną turę rozmów zapowiedziano na 22 stycznia.

ZNP, organizacja najliczniejsza, ponaddwustutysięczna, zapowiada, że może z MEN dalej rozmawiać. Te rozmowy mają jednak dotyczyć spraw innego kalibru. Dodatków, uzgadniania regulaminów wynagrodzeń oraz organizacji badań m.in. nad systemem wynagrodzeń nauczycieli. A w sprawie tysiączłotowej podwyżki ma się kręcić strajkowa machina. Anna Zalewska ewidentnie gra na czas. Wie, że procedura sporu zbiorowego jest długa, zawiła i psychologicznie trudna, w dodatku po drodze są ferie. Związkowcy przyznają, że realnie ogólnopolski protest może odbyć się w marcu. I że przez ten czas może się zdarzyć wiele – dziś społeczne nastroje zmieniają się nieporównanie szybciej niż prawie 30 lat temu, gdy tworzono ustawę opisującą, jak legalnie strajkować. Bez strajku zapewne się nie obejdzie, ale szefowa MEN najwidoczniej nie wierzy, że będzie on spektakularny i że po prostu się uda.

Jeśli szkoły faktycznie zostaną zamknięte, trzeba temu protestowi kibicować. Odłożyć frustrację, że kłopot. Nauczyciele po prostu muszą mieć wyższe pensje. Bo w tej chwili szkoła nie ma czym przyciągnąć nowych. Zwłaszcza w wersji masowej, publicznej jest miejscem kompletnie niedopasowanym do tego, czego młodzi ludzie oczekują. CV do szkół przynoszą albo ostatni idealiści, albo desperaci, albo ludzie nieświadomi tego, w co się pakują. Pojedynczy próbują potem walczyć, większość szybko się orientuje, że wylądowali marnie, i woli udzielać korepetycji, nająć się jako niania albo agent ubezpieczeniowy. Pieniądze lepsze, a odpowiedzialność mniejsza. By zatrzymać tych najwartościowszych w oświacie, można zacząć od zaoferowania im lepszych pieniędzy.

Dokąd prowadzi Rumunia

Teraz Rumunia przewodzi Radzie Unii Europejskiej. Półroczna prezydencja nie jest raczej okazją do promocji własnego kraju, a bardziej urzędniczym kieratem, choć o sporym znaczeniu praktycznym. Reprezentanci Bukaresztu planują i prowadzą spotkania unijnych ministrów. Od ich sprawności zależy, czy wiosną uda się przede wszystkim ustalić szczegółowe zasady negocjacji budżetu Unii do 2027 r. Rumuni chcą też, by w tym roku przyjąć ich wspólnie z Bułgarią do strefy Schengen. No i zdecydują w sprawach ważnych dla rządu w Warszawie. Określą losy ewentualnych sankcji na Polskę za łamanie praworządności i mają wpływ na przyszłość dyrektywy gazowej, przesądzającej o opłacalności rosyjsko-niemieckiego gazociągu Nord Stream 2.

Ambitnym planom nie sprzyjają okoliczności. Unia żyje brexitem, a prezydencja nie ma w tej kwestii wiele do powiedzenia. Czasu jest mniej niż zwykle, limit wyznaczają majowe wybory do Parlamentu Europejskiego. Nie pomaga kondycja rumuńskiego życia publicznego, od lat niezmiennie marna. Będziecie dla europejskiej polityki albo dobrym przykładem, albo ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem, mówił podczas fety inaugurującej prezydencję przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk.

Idzie o dokonania rządzącej Partii Socjaldemokratycznej, PSD. Przez wyrok sądowy jej lider Liviu Dragnea nie może zająć stanowiska premiera. Pod lupą prokuratury jest 85 proc. polityków PSD sprawujących funkcje publiczne, w tym 1183 burmistrzów i lokalnych radnych. PSD ku niezadowoleniu protestujących na ulicach obywateli poszukuje sposobów na amnestionowanie łapowników. Stara się ograniczać niezawisłość wymiaru sprawiedliwości i jest na kursie kolizyjnym z chadeckim prezydentem Klausem Iohannisem. Do tego stopnia, że weszło z nim w spór o obsadę krzesła na unijnych szczytach.

© MP

Pirat z Karaibów

Przewodniczący wenezuelskiego parlamentu Juan Guaidó został w piątek zatrzymany przez tajną policję po tym, jak na zwołanym w centrum Caracas wiecu oświadczył, że Zgromadzenie Narodowe przekazało mu władzę w kraju do czasu przeprowadzenia nowych wyborów. Choć polityka zwolniono jeszcze tego samego dnia, jego przypadek pokazuje, w jakiej sytuacji znajduje się dziś ten kraj. Dzień wcześniej zaprzysiężony na drugą kadencję został bowiem **Nicolás Maduro**. Opozycja uważa, że bezprawnie, bo przed majowymi wyborami jego rząd pozbawił praw wyborczych lub wtrącił do więzienia głównych kontrkandydatów. W ciągu dwóch ostatnich lat prezydent zdołał sobie całkowicie podporządkować władzę sądowniczą, a zdominowany przez opozycję parlament de facto zlikwidował, zastępując go obsadzonym jedynie przez swoich współpracowników zgromadzeniem konstytucyjnym.

© YURI CORTEZ/AFP/EAST NEWS

W tym czasie Wenezuela pogrąża się w coraz większym chaosie. Inflacja na koniec zeszłego roku sięgnęła rekordowych 1,3 mln proc., w sklepach brakuje produktów pierwszej potrzeby, 80 proc. szpitali boryka się z przerwami w dostawach prądu i bieżącej wody, z kraju wyjechał już co drugi lekarz – dołączając w ten sposób do fali 3 mln Wenezuelczyków, którzy opuścili ojczyznę od 2015 r. Rząd z opóźnieniem wypłaca pensje policjantom, więc na sytuacji korzystają przestępcy: w całym kraju rośnie liczba napadów, na wodach terytorialnych Wenezueli aż trzykrotnie w ciągu roku, przez co niektórzy zgryźliwie komentują o powrocie Piratów z Karaibów. Maduro nie może się jednak cieszyć taką popularnością, jak grana przez Johnny'ego Deppa postać z filmów o takim właśnie tytule.

© AFP/EAST NEWS

Harda ikona

Czy **Rahaf al-Qunun** przetrze szlak? W ojczyźnie za porzucenie islamu grozi jej kara śmierci. Zemsty może szukać gnębiąca ją rodzina, od której oddzieliła się podczas wakacji w Kuwejcie. Próbując dostać się do Australii, 18-letnia Saudyjka utknęła w hotelu na lotnisku w Bangkoku. Zabarykadowała się w pokoju i za pośrednictwem mediów społecznościowych uruchomiła kampanię o globalnym zasięgu. Pomógł jej wysoki komisarz Narodów Zjednoczonych do spraw uchodźców, dzięki zabiegom oenzetowskich urzędników ociągającą się z formalnościami Australię ubiegła Kanada. Uciekinierkę na lotnisku w Toronto witała Chrystia Freeland, kanadyjska minister spraw zagranicznych. Kłopotów z wyjazdem nie robiła żyjąca z turystyki Tajlandia, próbująca jak najszybciej pozbyć się problemu. Jesteśmy Krainą Uśmiechów, przypominał szef tamtejszej policji imigracyjnej, zapewniając, że jego ludzie zrobią wszystko, czego al-Qunun sobie zażyczy.

To rewolucjonistka – zachwycają się obrońcy praw człowieka. Mają nadzieję, że ikoniczna odyseja hardej nastolatki pomoże poprawić los ubezwłasnowolnionych Saudyjek. Ostatnio stetryczała monarchia nie ma dobrej passy, im bardziej próbuje uciszać nieposłusznych obywateli, w tym większe popada kłopoty. Jesienią, po zgładzeniu przez saudyjski wywiad dziennikarza i głośnego krytyka stosunków w królestwie, pojawiły się pierwsze poważne wątpliwości w sens sojuszu państw Zachodu z tak autorytarnym reżimem. Ucieczka al-Qunun przypominała z kolei sobie o innych dzielnych Saudyjkach. W tym o 29-letniej Loujain al-Hathloul, zabiegającej o prawo kobiet do prowadzenia samochodu. Od wielu miesięcy przebywa w więzieniu, w śledztwie poddawano ją torturom, w tym podtapianiu, biciu i grożono gwałtem. Choć król w swojej wspaniałomyślności pozwolił kobietom na jazdę autami, al-Hathloul wciąż czeka na proces. Grozi jej kara 20 lat pozbawienia wolności.

Kongo w gorączce

Wybory powinny się odbyć już dwa lata temu, ale ustępując, prezydent Joseph Kabila, który wyczerpał swój limit, trochę się zasiedział. Miał w nich zwyciężyć, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, jego bezwolny kandydat minister policji Emmanuel Shadry, a wtedy Kabila (ledwie 47-letni) za 5 lat znów mógłby zostać prezydentem. Kabila jest taki młody, bo mając 27 lat, musiał zastąpić zamordowanego ojca Laurenta Kabilę. Ów, na czele partyzantki, obalił krwawego dyktatora Mobutu Sese Seko, który rządził krajem jak prywatnym folwarkiem przez 32 lata i zupełnie go zubożył. Wcześniej, obaliwszy pierwszego premiera niepodległego Konga Patrice Lumumbę. Nigdy jeszcze władza nie była tu przekazana pokojowo.

Kongo zawsze dostarczało surowców światowym rewolucjom technicznym. Za Belgów (bodaj najkrwawszy epizod kolonialny w Afryce) – kauczuku, później miedzi, a obecnie wolframu, do baterii w smartfonach i samochodach elektrycznych, którego ma ponad połowę światowych zasobów. Demokratyczna Republika Konga niewiele z tego miała, ogromna, wielkości połowy Europy, bardzo biedna, prawie bez dróg i infrastruktury, z epidemią eboli i nieustannymi konfliktami na wschodzie kraju. Oraz od lat stacjonującymi siłami ONZ. Przy obecnych wyborach system głosowania był taki, że wybierało się kandydata według zdjęcia na tablecie (dostarczonym przez Koreę Płd.), a potem maszyna drukowała ten głos, który wrzucało się do urny i później je liczyło. Podwójny system miał zapobiec fałszerstwom, o które oskarżano we wszystkich poprzednich głosowaniach, również ostatnim zwycięskim Kabili.

No i mamy niespodziankę: ogłoszono, że gładko wygrał kandydat opozycji Felix Tshisekedi. To także syn swojego ojca, odwiecznego prześladowanego opozycjonisty, jeszcze za Mobutu. Odziedziczył partię i wyborców po zmarłym tacie ledwie w marcu 2018 r. Cała opozycja porozumiała się, że wystawi wspólnego kandydata. Kiedy jednak został nim Martin Fayulu, potentat naftowy, Tshisekedi złamał umowę i też wystartował. Z sukcesem, który teraz podważa przed sądem konstytucyjnym konkurent Fayulu, który był drugi, a kandydat ustępującego prezydenta dopiero trzeci. I tu jeszcze większa niespodzianka: wszechwładni ludzie Kabili gładko pogodzili się z tą przegraną. Co od razu zrodziło spekulacje, że Tshisekedi junior, mało doświadczony i bez charyzmy ojca, dogadał się z Kabilą i zgodził, że to on nadal będzie kierowcą, choć z tylnego fotela. Ale fatalizm Konga polega też na tym, że po każdych wyborach wybuchają gwałtowne zamieszki. Więc i teraz pewnie nie będzie inaczej.

© AN

Szukajcie Oksany

Oficjalnie niewiele wiadomo: 47-letni sułtan Malezji Muhammad V po dwóch latach panowania niespodziewanie zrzekł się tronu. Nie podano przyczyny tej pierwszej w historii abdykacji, odkąd w 1957 r., po uwolnieniu się spod brytyjskiej kurateli, wprowadzono tu specyficzny system monarchii rotacyjnej. Na tronie, na pięcioletnią kadencję, zasiada po kolei 9 sułtanów rządzących (dosyć niezależnymi) stanami Malezji.

Nieoficjalną przyczyną jest kobieta, a konkretnie pochodząca z Rostowa 25-letnia Oksana Wojewodina, Miss Moskwy 2015. Z równie nieoficjalnych informacji wiemy, że mieli się poznać półtora roku temu, podczas prezentacji drogich zegarków. I że kiedy władca pod koniec ub.r. wystąpił o dwumiesięczny urlop zdrowotny i opuścił kraj w sprawie leczenia, wziął z Oksaną, dziś już Rihaną (która wcześniej przeszła na islam), **huczny ślub** w podmoskiewskiej Barwisze, miasteczku miliarderów.

Rosyjskie media wygrzebały Oksanie/Rihanie głośny udział w reality show „Wyspa marzeń", gdzie „poszła do łóżka już na pierwszej randce". Wszystkie te przecieki docierające do konserwatywnej Malezji, gdzie sułtan jest ostoją wartości i wiary (a ma już na sumieniu rozwód z tajską księżniczką), musiały mocno zaboleć. Rada Władców, grupująca sułtanów, jak podaje się nieoficjalnie, wymusiła pospieszną abdykację. Teraz na malezyjskim tronie byłaby kolej na sułtana Pahangu. Ale że jest leciwy i złego zdrowia, więc podaje się (poza protokołem), że też abdykuje, aby po tron sięgnął syn. Dwie abdykacje w ciągu miesiąca? – tego rekordu Malezja długo nie pobije.

Spór o mur

Już ponad 3 tygodnie 800 tys. pracowników administracji federalnej w USA przebywa na bezpłatnym urlopie albo pracuje za darmo, ponieważ prezydent Trump odmawia podpisania ustawy budżetowej bez sfinansowania budowy ogrodzenia na granicy z Meksykiem, na co nie godzą się demokraci. To najdłuższy w historii paraliż rządu, *shutdown*, a także najdziwniejszy. W poprzednich takich sporach chodziło zwykle o wydatki na kluczowe programy społeczne, a więc kierunek polityki socjalno-ekonomicznej państwa. Tymczasem suma 5,6 mld dol., jakiej domaga się Trump, pokryłaby koszt raptem ok. 300 km muru, tzn. przedłużenia już istniejącego metalowego ogrodzenia i do pełnego uszczelnienia całej granicy

© GETTY IMAGES

(3145 km) pozostałoby prawie 2000 km. Żądanie prezydenta ma więc wyłącznie symboliczno-polityczny charakter. Nielegalna imigracja jest rozdmuchanym przez niego problemem – w ciągu ostatnich 10 lat znacznie spadła. Trump uparł się przy murze, bo była to obietnica najgoręcej oklaskiwana przez jego fanów, którzy domagają się jej spełnienia. A forsowanie imigracji jako zagrożenia odwraca uwagę od rosnących kłopotów prezydenta, zagrożonego śledztwami w Kongresie.

Demokraci nie zamierzają ustąpić, gdyż Trump sam powiedział w grudniu, że *shutdown* bierze na siebie, a według sondaży większość Amerykanów nie chce rozbudowy muru. Prezydent prawdopodobnie liczy, że z czasem, gdy paraliż administracji stanie się coraz bardziej dotkliwy, nastroje odwrócą się na jego korzyść, ale jak dotąd nic na to nie wskazuje. Jedyną drogą do jego wygranej byłoby wtedy ogłoszenie stanu wyjątkowego i sfinansowanie muru bez zgody Kongresu. Trump powstrzymał się na razie przed tym, bo krok taki zostałby zakwestionowany przez sądy i mógłby wywołać protesty republikanów. Ale czy na dobre z tego zrezygnował? Tego nikt nie wie.

Zamach

Paweł Adamowicz był prezydentem Gdańska przez 20 lat i rósł razem z tym miastem. Padł ofiarą ślepej, bezrozumnej nienawiści.

© GRZEGORZ MEHRING/GDANSK.PL

RYSZARDA SOCHA

Było pięknie. Radośnie i podniośle. Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy kończyła granie. Nadchodził czas „Światełka do nieba". Kulminacji. Prezydent Adamowicz ze sceny mówił o tym, że „Gdańsk jest szczodry, dzieli się dobrem, że chce być miastem solidarności". W górę wyciągnęły się ręce z siejącymi skry zimnymi ogniami. I wtedy na scenę wskoczył nożownik. Dopadł do Adamowicza. Ciosy trafiły w serce, brzuch, przeponę. Napastnik nie próbował uciekać. Długie kilkadziesiąt sekund „tańczył" triumfalnie przed publicznością, jeszcze nie bardzo rozumiejącą, co się stało. Wykrzykiwał swoje „uzasadnienie": „Halo, halo! Nazywam się Stefan W****t. Siedziałem niewinny w więzieniu. Siedziałem niewinny w więzieniu. Platforma Obywatelska mnie torturowała. Dlatego właśnie zginął Adamowicz".

Jako pierwszy zareagował ktoś z obsługi technicznej, potem wkroczyła ochrona. Stefan W. został obezwładniony.

•

Trójmiejskie media szybko rozpoznały w 27-letnim nożowniku bohatera swoich publikacji sprzed kilku lat. Został skazany na 5,5 roku więzienia nie „za niewinność", ale za mocno udokumentowane dowodowo cztery napady na placówki finansowo-bankowe. Policja zastawiła pułapkę. Podczas ostatniego napadu w czerwcu 2013 r. on i jego wspólnik zostali złapani na gorącym uczynku, ze świeżo zrabowanymi pieniędzmi. W maju 2014 r. Stefan W. został skazany na 5,5 roku więzienia, a jego wspólnik na rok i 10 miesięcy (brał udział tylko w ostatnim napadzie). Całą historię sprawozdawał na bieżąco portal trojmiasto.pl. W. niespecjalnie ukrywał przed rodziną i kolegami, czym się trudni. Zdobyte pieniądze przeznaczał na przyjemności – taksówki, jedzenie i kasyno, krótkie wakacje na Wyspach Kanaryjskich, którymi pochwalił się na portalu społecznościowym.

Podobno lubi militaria. Podczas napadów na banki używał pistoletów – gazowego i na naboje hukowe. W więzieniu starał się o przedterminowe zwolnienie, ale każdorazowo otrzymywał odmowę. Podobno w końcówce odbywania kary zdradzał objawy niezrównoważenia psychicznego. Pod koniec grudnia 2018 r. wyszedł na wolność. Do sceny WOŚP w Gdańsku prawdopodobnie udało mu się dotrzeć dzięki plakietce z napisem „Media".

Paweł Adamowicz po półgodzinnej reanimacji został przewieziony do Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego w Gdańsku. Operacja trwała pięć godzin. Lekarze nie ukrywali, że jego stan jest ciężki. Jak bardzo, uzmysłowiły to informacje podane 14 stycznia około południa – był nieprzytomny, nie oddychał samodzielnie, jego płuca i serce zastępowała praca aparatury. Walczymy – mówili lekarze. Dwie godziny później przekazali, że walka została przegrana, Paweł Adamowicz zmarł.

To była ostatnia batalia 53-letniego samorządowca. Jedyna, z której nie wyszedł zwycięsko. Chwilę wcześniej, w listopadzie 2018 r. wygrał wyścig o szóstą już kadencję na fotelu prezydenta Gdańska. Choć podczas finału WOŚP napastnik zaatakował go jako człowieka PO, w ubiegłorocznej kampanii samorządowej nie był kandydatem tej partii. Owszem, należał do grona jej założycieli i odgrywał w PO znaczącą rolę, ale kilka lat temu zrezygnował z członkostwa. Stało się to, gdy CBA zaczęło badać jego oświadczenia majątkowe. Były w nich nieścisłości dotyczące liczby nabytych mieszkań. W marcu 2015 r. prokurator przedstawił mu zarzuty. Rok później sąd rejonowy umorzył warunkowo postępowanie na okres próby, nakładając jednocześnie na prezydenta karę pieniężną (40 tys. zł). Prokurator ▶

▶ był wtedy za takim rozwiązaniem. W grudniu 2016 r. na skutek apelacji prokuratora Sąd Okręgowy w Gdańsku uchylił ten wyrok i skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia. Był to skutek nowego stanowiska prokuratury pod rządami PiS.

Ta historia niczym miecz Damoklesa wciąż wisiała nad gdańskim włodarzem. Docierały sygnały, że CBA nadal czegoś szuka. Adamowicz najpierw tłumaczył się z liczby mieszkań, a potem także z pieniędzy, jakie jego dzieci miały otrzymać od swoich dziadków. Ta skaza na wizerunku przesądziła, że PO w ostatnim wyścigu do fotela prezydenta nie zdecydowała się wystawić Adamowicza jako swojego kandydata. Okazało się, że błędnie oceniła sytuację. On sam zaś, jeszcze nim w partyjnych gremiach zapadły ostateczne decyzje, założył Stowarzyszenie Wszystko dla Gdańska i wystartował jako kandydat niezależny.

•

Do samorządu trafił prosto z młodej antykomunistycznej konspiracji. Jako uczeń szkoły średniej uczestniczył w kolportażu i wydawaniu podziemnych pisemek. Na studiach, w maju 1988 r., był współorganizatorem strajku okupacyjnego na Uniwersytecie Gdańskim. U progu wielkiej zmiany w 1990 r. został prorektorem Uniwersytetu Gdańskiego, wtedy najmłodszym w Polsce. I radnym miasta Gdańska. A potem przez jedną kadencję (1994–98) przewodniczył radzie.

W Trójmieście prezydenci tworzą coś w rodzaju tercetu – Adamowicz, rocznik 1965, w Gdańsku i niemalże rówieśnicy Szczurek w Gdyni oraz Karnowski w Sopocie, obaj rocznik 1963. Cała trójka urząd prezydenta sprawuje nieprzerwanie od 1998 r. Sopot jest niewielki, łatwy do ogarnięcia. Gdynia, miasto młode, z kamienicami mającymi prywatnych właścicieli, nie stwarzała aż takich trudności. Adamowicz miał trudniej, skala problemów w Gdańsku była nieporównanie większa. A on sam, obejmując urząd, był mało wyrazisty, nieuważny. Zdarzało się mu np. fotografować w egzotycznych, przywiezionych z dalekich podróży strojach. Ale jednocześnie starał się do siebie podchodzić z dystansem i humorem. Widać było, że nad sobą pracuje. Jego wypowiedzi, początkowo zawiłe, stawały się coraz bardziej precyzyjne. Równolegle z nim rozwijał się też Gdańsk, zyskując wizerunek jednego z najatrakcyjniejszych miast w Polsce. Coraz częściej dumni ze swego miasta gdynianie zastanawiali się, czy u nich coś się nie zatarło, nie przyhamowało i dlaczego?

Można się oczywiście sprzeczać o kształt tego gdańskiego rozwoju. Można mówić o swobodzie deweloperów, o inwestycjach w różne spektakularne obiekty, kosztem rozwoju miękkiej, słabiej dostrzegalnej sfery społecznej (żłobki, przedszkola, nowoczesne rozwiązania komunikacyjne). Ale takie to były czasy, z wizją miasta na wzór przedsiębiorstwa. Zresztą praktykowaną nie tylko w Gdańsku. Ostatnie lata przyniosły odwrót od tego myślenia. I trzej główni gdańscy kandydaci w kampanii 2018 r. (Adamowicz, Jarosław Wałęsa z KO, Kacper Płażyński z PiS) byli dość zgodni co do priorytetów na najbliższe lata. Adamowicz bił konkurentów wewnętrzną siłą i determinacją, by zwyciężyć. Jego rywale, choć młodsi, byli jakoś mniej energetyczni. To przemówiło do wyborców.

A może także to, że Adamowicz dojrzewał jeszcze w innym sensie – z dość hermetycznego, tradycyjnego konserwatysty stał się konserwatystą otwartym na wyzwania współczesności, jak in vitro, polityka migracyjna, równość obywateli. Nie tylko poszedł na czele Marszu Równości, ale doprowadził do uchwalenia przez radę polityki miejskiej, porządkującej sprawy równego traktowania (kobiet, osób o innej orientacji seksualnej, seniorów, imigrantów). Ten dokument jest kwestionowany przez wojewodę z PiS. Eksperymentował z nowymi formami demokracji, poszukując sposobów uaktywnienia, pełniejszego włączenia mieszkańców w proces podejmowania decyzji. W efekcie w Gdańsku odbyły się trzy tzw. panele obywatelskie. Spotkania, w których decydujący głos w ważnych dla miasta sprawach otrzymała grupa wybranych losowo mieszkańców – swoista ława przysięgłych, odzwierciedlająca składem przekrój społeczny gdańszczan.

Gdy nastały rządy PiS, był w Gdańsku najbardziej wyrazistym przedstawicielem antyPiSu. Uczestniczył w manifestacjach w obronie demokracji, a potem niezależności sądów. Dawał oparcie także innym, szturmowanym przez PiS instytucjom, jak np. Muzeum II Wojny Światowej czy Westerplatte. Ot, polityk całą gębą. Toteż Jarosław Wałęsa, choć startował z ramienia KO, odpadł w pierwszej turze. Mimo znanego nazwiska i dobrych opinii. Dopiero wtedy PO wraz z Nowoczesną zdecydowały się poprzeć Adamowicza.

•

Po ataku nożownika prezydent Gdyni Wojciech Szczurek, od wielu lat niezwykle zdystansowany politycznie, czasem irytująco, by nie powiedzieć kunktatorsko powściągliwy, tym razem nie owijał w bawełnę. Miał jasność co do źródeł tego, co się stało: „Atmosfera politycznej nienawiści i narastających podziałów, początkowo politycznych, a teraz już po prostu społecznych, towarzyszy nam od dawna. W zasadzie przyzwyczailiśmy się do życia w atmosferze oszczerstw, podejrzeń i słabo lub wcale nieskrywanej nienawiści, jakby to była norma, a nie patologia. Dzisiejsze niewiarygodne, dramatyczne wydarzenie pokazuje aż nazbyt dobitnie, dokąd nas to doprowadziło i jak zmieniło świat, który nas otacza. Napastnik próbował pozbawić życia Pana Prezydenta w czasie wydarzenia, które od niemal 30 lat było symbolem wspólnoty Polaków. Apeluję do polityków, liderów, do wszystkich obywateli o zero tolerancji dla nienawiści w życiu publicznym. Jeśli konsekwentnie wdrożymy taką zasadę, może uda się naprawić to, co w naszym społeczeństwie zostało zdemolowane".

Czołowi politycy wszystkich partii, nie wyłączając PiS, zgodnie potępili to, co się stało. Choć niektóre głosy z samych szczytów obozu rządzącego, po latach nakręcania emocji, dzielenia obywateli na lepszych i gorszych, po obserwowanym nie raz i nie dwa braku adekwatnej reakcji na przemoc w życiu publicznym, po nękaniu tych, którzy protestowali przeciwko politycznej agresji, mogą budzić wątpliwość – na ile są szczere, a na ile podporządkowane aktualnym oczekiwaniom społecznym, temu poruszeniu, jakie wywołała zbrodnia. Zbrodnia podczas zdarzenia, które jednak znaczną część Polaków wciąż łączy ponad podziałami. Mimo że rządzący nie są tym zachwyceni, czego wyrazem m.in. skierowana przeciw WOŚP propaganda TVP.

Kiedy mieszkańcy Gdańska tłumnie ruszyli oddawać krew, zaczęli organizować manifestacje i uczestniczyć w modłach, prezydent Adamowicz jeszcze żył. Psychologowie uruchomieni przez MOPR i różne organizacje pomagali osobom najbardziej zszokowanym (głównie seniorzy) otrząsnąć się z traumy. Krzysztof Sarzała, psycholog z gdańskiego Centrum Interwencji Kryzysowych, mówi o ciepłych, *puszystych* uczuciach, które pojawiają się w takich dramatycznych sytuacjach. O tym przypływie życzliwości wzajemnej. Tak było po śmierci Jana Pawła II, a potem po katastrofie smoleńskiej. – *Chcemy wierzyć* – mówi Sarzała – *że to, co się stało, spowoduje trwałą zmianę. Że na kanwie tragedii może powstać coś dobrego. Ale samo się to nie zdarzy, chyba że wielki wysiłek w to włożymy. Bo dużo ludzi, którzy chcą zaistnieć publicznie, żywi się takimi zdarzeniami. Łatwo rzucić na nasycony emocjami grunt zapaloną zapałkę i wywołać pożar.*

Zresztą, zdaniem Sarzały, w pewnym momencie trzeba sobie odpowiedzieć, dlaczego stało się to, co się stało, i czy wszystko było jak należy. Ale poszukiwanie odpowiedzi może przyjąć formę racjonalną, a może się zamienić w konflikt. Może być sztucznie wzmacniane, jak w sprawie katastrofy smoleńskiej. Czego psycholog boi się najbardziej? Zniszczenia dorobku WOŚP. Bo zainteresowanych tym środowisk jest dużo. Śmierć prezydenta Adamowicza to zagrożenie zwiększa. Dlatego warto pamiętać, że gdyby przeżył, z całą pewnością broniłby wspólnego dobra. Ile tylko sił.

RYSZARDA SOCHA